

CLARK RUSSELL.

W ODMĘTACH OCEANU.

13

— Słuchajcie! co to? — zawołała Helga. Z daleka doszedł do nas głos, jakgdyby huczały fale przybrzeżne. Oslepiająca błyskawica zajaśniała przez okna i zaćmiła na chwilę światło lampy. W tej chwili okno górne zostało gwałtownie zatrzęsnięte i rozciągnięto na niem koc.

— Moje ubranie ceratowe, Pnumeamootty! — krzyknął przez drzwi kapitan.

— Czyż to taki straszny deszcz? — zapytała Helga.

Tak, to był deszcz; prawdziwy potop, zmieszany z ogromnym gradem dudnił po pokładzie, sprawiając ogłuszający hałas. Trwało to kilka minut. Potem nagle nastała zupełna cisza i słychać było tylko huk fal morskich, ale głębszy, dziksy, groźniejszy. Jeszcze kilka chwil trwała cisza, poczem pochwyciła nas burza w swe ramiona. Barka wyrzuciła się na bok, a olbrzymie fale raz po raz zalewały pokład.

Helga trzymała się stołu. Podemną złamał się stół; wyrzuciłem się jak długi na ziemię, a na mnie spadło wszystko, co stało na stole. Leżałem otoczony szczątkami talerzy, nożami, widelcami, resztkami marmolady i jedzenia. Flaszka z wódką rozbiła się na kawałki. Helga głośno krzyknęła.

— Nic mi się nie stało — zawołałem.

Na górze rozlegały się ciągle wrzaski i okrzyki. Nagle burzę przebił trzask, jakgdyby strzelano z armaty.

— Pękł żagiel — zwróciłem się do Helgi.

Okręt kręcił się, wznosił i pokładał; ja wywracałem się co chwila i zaledwie mogłem pozbierać się z ziemi. Na szczęście nie poraniłem się na szkło, rozsypanem wokoło. Wyszedłem na pokład. Nieprzeniknione ciemności zakrywały wszystko. Kiedy chciałem się ruszyć dalej, wiatr rzucił mi w oczy takie masy deszczu, że osłepiło mnie na chwilę zupełnie. Burza szalała strasznie gwałtownie. Zdawało się, że jakaś przemożna siła podrywa nas do góry, a następnie ze strasznej wysokości rzuca znowu w przepaść. Cały okręt trzeszczał, stękał i drżał we wszystkich swych częściach; robiło to wrażenie jakby tysiące niewolników było zamkniętych w lochu i jęczało.

Zlaźłem znowu do kajuty.

— Dzisiaj jeszcze gorzej się dzieje, niż na „Aninie“, Helgo — odezwałem się.

— Tak i wtedy burza także tak szalała. Ale ja nie boję się żadnej burzy tak, jak kapitana Buntinga i jego uśmiechu. Pewnie zaraz tu przyjdzie. Wolę już w takim razie iść spać.

Prawie kwadrans potrzebowaliśmy, zanim dostaliśmy się do zapadni, prowadzącej na dół. Musieliśmy się trzymać przedmiotów i w ten sposób posuwaliśmy się naprzód. Drzwi były zamknięte, otworzyłem je i spojrzałem w dół, który wyglądał jak otwór kopalni węgla. Jak mogłem najdonośniej, wołałem Pnumeamootte. Po chwili zjawił się na czworakach, przemoczony do nitki, gdyż na górze fale ciągle zalewały pokład.

Potykając się i prawie przewracając co chwila, przyniosł latarnię, Helga z nadzwyczajną pewnością siebie spuściła się w dół, a ja podałem jej latarnię z prośbą, aby ją zawiesiła i zostawiła palącą się, ponieważ ja chcę jeszcze wyjrzeć na świat i zapalić fajkę.

Dotarłem potem z powrotem do kajuty, a Pnumeamootty, który za mną przyszedł, z przerażeniem ujrzał stos gruzów na ziemi. Pogroził w przestrzeń zaciśniętą pięścią.

— My wszyscy mówić, że burza przyjdzie, bo kapitan zły człowiek!

Ponieważ przemarłem na dworze w deszczu, podszedłem, trzymając się ścian do szafy i wydobyłem flaszkę z rumem. W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł kapitan. Wąs zwieszał mu się w dół, przesycony wodą, a z ubrania spływały formalne strugi.

Trzymając się brzegu stołu, wskazał swym grubym palcem na spustoszenie, jakiego widownią była podłoga, zasiana szczątkami naszej uczty i krzyknął wściekły do Pnumeamootta:

— Kto to zrobił?

— Przypadek, kapitanie — odpowiedział zgryźliwie. — Obrzydliwe, stare pudło, ten nasz okręt!

— Gdzie jest panna Nilsen?

— Poszła już spać — usiadłem na wierzchu

małej szafki. — Pnumeamootty, podaj mi szklanekę z szafy!

Pnumeamootty próbował spełnić rozkaz, ale upadł i rozbił szklanekę.

— Przeklęty niezdaro! — grzmiał kapitan. — Łajdaki psie! Posprzątać! Ale prędko!

— Czy panna Helga wzięła ze sobą światło?

— Tak, latarnię.

— Ależ ona może upaść i upuścić latarnię. Przecież to niebezpiecznie, podczas takiej burzy.

— Jest ona zgrabniejsza, niż my wszyscy.

— Wszystko jedno — muszę sprawdzić, co się stało z latarnią panny Nilsen — oświadczył kapitan, zwracając się ku drzwiom.

Skoczyłem i zastąpiłem mu drogę.

— Zaden mężczyzna nie przekroczy progu sypialni panny Nilsen, dopóki ja jestem na okręcie.

Fala najrozmaitszych uczuć przeleciała przez twarz kapitana. Spojrzał na flaszkę, którą ciągle jeszcze trzymałem w ręce i nabrał przekonania, że jestem w tej chwili gotów bez namysłu rozplatać mu nią łeb, w razie, gdyby chciał koniecznie wyjść. W każdym zaś razie mógł przypuszczać, że nie jestem całkiem trzeźwy.

— Mogę pana zapewnić — wyrzucił wreszcie z siebie, zmuszając się wysiłkiem woli do zachowania swego zwykłego spokoju — że mieszkание panny Nilsen jest dla mnie równie święte, jak ono jest dla pana. Może pan sam skontroluje, co się dzieje ze światłem? Cały okręt znajduje się w niebezpieczeństwie.

Bez odpowiedzi postawiłem flaszkę znowu w szafie, i wzburzony opuściłem kajutę. Byłem przygotowany na walkę na pięści. Z progu już zawołałem na Pnumeamoottego, aby mi towarzyszył i zamknął zapadnię. Czy poszedł za mną, nie wiem; na dole zastałem latarnię palącą się, zgasilem ją, a następnie rzuciłem się w ubraniu u siebie na łóżko. Długo nie mogłem usnąć, gdyż okręt skakał i podrygiwał jak piłka. Dwa razy zostałem wyrzucony z łóżka na ziemię, przyczem potłukłem się uczciwie. Wołałem kilkakrotnie na Helgę, ale w hałasie nie mogłem zrozumieć jej odpowiedzi.

Nad ranem obudziło mnie gwałtowne uderzenie fali, które jak iskra elektryczna wstrząsnęło całym statkiem. Spojrzałem przez okienko i zdawało mi się, że dnieje. Naciągnąłem buty i dowlokłem się do zapadni, prowadzącej na pokład, która jednak była zamknięta, tak iż nie mogłem wyjść. Zastanawiałem się chwilę, jak dać znać o sobie, wreszcie przyniosłem sobie deskę z mojego łóżka i zacząłem nią bombardować w zamknięte drzwi. Po kilku minutach otworzono mi, a z góry spojrzała na mnie znajoma twarz Jakóba, wyglądająca z pod zgnieczonego kapelusza.

— Byłby pan długo jeszcze tłukł się w tej mysiej dziurze, panie Tregarthen, gdyby nie przypadek, że byłem ukryty w pobliżu, szukając schronienia przed falami.

Jak góry, sięgające prawie do szczytu masztów, szły na nas fale, rozbijając się na okręcie w pieniących się kaskadach. Barka płynęła przy pełnych żaglach. Z kolorowej załogi nie było widać nikogo. Jakób krzyknął mi do ucha, że wszyscy ze strachu są półżywi.

— Musi się im rozchodzić jeszcze o jakiś specjalny przesąd. Modlą się ciągle, jakby im kto za to płacił.

— Kto stoi na straży?

— Sternik — odpowiedział Jakób.

Zdumiałem się, kiedy dowiedziałem się, że to już ósma. Brzask dnia z trudnością przedzierał się przez ogromne masy deszczu.

Po chwili ukazała się z pod pokładu także Helga. Mimo ogromnych przechyleń okrętu szła ku mnie bardzo pewnym krokiem.

— Co za noc! — wołała z daleka. — Myślałam, że barka lada chwila rozleci się w kawałki.

Nie długo przebywaliśmy na pokładzie, gdyż mimo, iż posunęliśmy się już znacznie na południe, wiatr był ogromnie zimny. Poszliśmy więc do kajuty. Tam opowiedziałem Heldze, o co wczoraj z kapitanem się pokłóciłem.

— Jak długo trwa taka burza, nie możemy nic przedsięwziąć — rzekła ze smutkiem. — Pański sen o Santa Cruz już się skończył. Ach, chciałabym, aby wszystkie maszty się połamały.

— Aby tylko sam statek cały pozostał — dodałem.

— Tak, żeby tylko statek ocalał! Wołałabym czternaście dni błąkać się po morzu na rozbitym statku, gdybym miała nadzieję, że w ten sposób uwolnię się z tego przykrego położenia.

Kończyła ostatnie słowa, gdy w drzwiach kajuty pojawił się kapitan. Powitał Helgę bardzo serdecznie, dowiadując się obszernie o jej zdrowiu, przy-

czem trzymał jej rękę mocno w swych dłoniach, nie puszczając jej mimo, iż Helga starała się rękę z tego uścisku oswobodzić.

— Chcę pana prosić o przebaczenie — zwrócił się następnie do mnie. — Wczoraj użyłem w rozmowie z panem wyrażenia, którego od lat już nie wymówiłem. Pan zechce jednak uwzględnić, że było wczoraj tyle okoliczności, które mnie rozdrażniły, że nawet najpobożniejszy człowiek nie byłby umiał panować nad sobą.

Odpowiedziałem oziębło, postanowiłem bowiem zachować się wobec niego z wielką rezerwą. Po chwili odszedł kapitan do swojej kajuty, aby poprawić swą toaletę. Przedtem jednak zawiadomił nas, że całą noc spędził na pokładzie, czuwając nad bezpieczeństwem okrętu, który od poniedziałku stał mu się jeszcze droższym. Po jego wyjściu opowiedziałem Heldze, jak dobitnie umie kapitan kłąć.

— A więc naprawdę umie! — zaśmiała się.

Po jakimś kwadransie zjawił się kapitan z powrotem. Był wyswieżony, a z daleka już błyszczał czerwony jego krawat.

Ponieważ kucharz wobec burzy nie mógł rozpaść ognia, musieliśmy zadowolnić się zimnem mięsem i winem, z powodu czego kapitan Bunting rozplątywał się formalnie w usprawiedliwieniach.

Slepy by już poznał, że zakochał się beznadziejnie powyżej uszu w Heldze. Im bardziej zaś ona była zimna i powściągliwa, tem gorętszy się stawał. Nigdy nie byłbym przypuścił, że zarozumiałość może człowieka tak zaślepić.

— Pewnem jest — powiedziałem sobie w duchu — że przed Przylądkiem z nami się nie rozłączy, a w każdym razie wierzy święcie, że jeszcze przed trzydziestym czwartym stopniem zostanie przez Helgę przyjęty.

Nieskończenie wolno wlokły się godziny dnia. Zmęczeni i rozbici ciągłymi *salto mortale* okrętu siedzieliśmy przeważnie w kajucie. Kapitan przychodził i odchodził, a po obiedzie i ja wyszedłem na pokład, aby w towarzystwie Jakóba wypalić fajkę. Ukryliśmy się za szalowaniem, aby spokojnie móżdż rozmawiać. Jakób zawiadomił mnie, że między załogą znowu panuje niezadowolenie.

— Ciągłe jest to samo — opowiadał — dostali znowu wieprzowinę. Przecież ostatecznie dzisiaj wszystko jedno co jedzą, wobec tego, że i tak się dziś nie gotuje. Zdaje się jednak, że dłużej nie pozwolą na takie ich traktowanie. Kiedy Nakir, ma się rozumieć w ich języku, zawiadomił ich o tem, że znowu będzie wieprzowina, zaczęli krzyczeć i wrzeszczeć jak opętani, a jeden zaczął nawet wywijać nożem. Kiedy to zobaczyłem, schowałem się dobrze na moim łóżku, przyciskając się do ściany i pomyślałem sobie bowiem, że jeśli się wścieknie i zachoruje na amok*) nie chcę być pierwszym, którego zabije.

— Jak długo trwały awantury? — zapytałem.

— Nie długo! — Nakir przemówił do nich, poczem wszyscy się uspokoiłi. Wykrzykiwali tylko wściekle twarze i zaciskali groźnie pięści. Powiadam panu, na ten widok z pewnością i niedźwiedź polarny byłby się pocił.

— Cóż myśli Abraham o tej całej sprawie?

— O, ten nie bierze całej sprawy poważnie, ma się już dzisiaj za oficera i trzyma z kapitanem.

— Kapitan zupełnie zwaryował, inaczej przecież zastanowiłby się nad tem, że swymi głupimi próbami nawracania daży do nieszczęścia — oświadczyłem. — Mnie ostatecznie nic nie będzie szkodziło, jeśli marynarze się zbuntują i okręt siłą zaprowadzą do Madery, albo wysp Kanaryjskich.

— Abraham opowiadał mi, że kapitan zakochał się w tej młodej damie. Ostatecznie nic dziwnego! — dowodził Jakób z uśmiechem, przyczem bardzo chytrze na mnie spojrzał. — Mogę sobie wyobrazić, jak pan niespokojnie na to wszystko patrzy! Ja także przechodziłem takie historie i wiem, co znaczy zazdrość...

Szybko odwróciłem rozmowę na inny temat i zacząłem się go znowu wypytywać o Malajczyków. W końcu odszedłem do kajuty.

Tutaj w półmroku rozróżniłem postać kapitana tuż obok Helgi. Dowodził jej coś gwałtownie, nachyliwszy się ku niej. Kiedy mnie ujrzał, urwał nagle rozmowę i zapytał:

— No, jakże tam na górze?

— Pogoda nie może być gorsza, a burza bawi się statkiem jak piłką.

— Zapewne okręt jest stary, ale doskonały i wytrzyma więcej niż niejeden nowy i tak zwany ele-

*) Amok jest chorobą znaną na południu, rodzaj obłądu. Ludzie dotknięci amokiem lecą szybko prosto przed siebie i zabijają kogo napotyka.